

# Bractwo Mundurowe

<https://trybuna.info/polska/bractwo-mundurowe/>



**25.06.2021 - PIOTR JASTRZĘBSKI**

Wśród korespondentów wojennych, krąży opowieść o pewnym fotoreporterze. Mało kto wie czy wydarzyła się naprawdę. Nie jest to jednak istotnie, ponieważ historia – niezależnie czy prawdziwa, czy nie – przedstawia mechanizm obronny ludzi, którzy jeżdżą relacjonować jakieś tragiczne wydarzenia. Opisują, fotografują, nagrywają i jeśli mają odrobinę szczęścia, wracają cało do swoich domów. Podawana z usta do ust historia, stała się pewną wytyczną pracy większości takich reporterów.

Obyty w dokumentowaniu najbardziej brutalnych zjść, pracownik jednaj z agencji, bez wahania jeździł wszędzie tam, gdzie coś się działo. Nikt nie musiał go namawiać. Wojny stały się jego rutyną, zbierał nagrody i wyszukiwał kolejne miejsca, w które mógłby pojechać. Wszystko szło sprawnie do momentu, gdy w pewnym momencie zabrakło rąk do pomocy rannym cywilom. Nie mógł nie zareagować – odłożył aparat i zaczął pomagać ratownikom przy przenoszeniu poszkodowanych.

Gdy już się uporali – reporter się załamał – był to koniec jego kariery. Więcej na żadną wojnę już nie pojechał.

Dopóki trzymał w rękach aparat, chował się za jego obiektywem – jak za murami emocjonalnego bunkra. Nie widział ofiar, tylko ujęcia, nie widział tragedii, tylko kadry. Aparat dawał dystans i chronił przed najbardziej okrutnymi obrazami. Gdy go jednak odłożył i przyłączył do pomocy, wszystkie te pozornie „zapomniane” zdarzenia wróciły, uderzając bezpośrednio w jego bezbronną psychikę.

Historia ta przypomniała mi się podczas rozmowy z Andrzejem Dziedzicem, autorem i twórcą filmu dokumentalnego „Listy śmierci”. Rozmawialiśmy dosyć długo, opowiadał o realizacji tego dokumentu. Podczas pracy wszystko szło dobrze, nagrał potrzebne fragmenty, wypowiedzi, wsiadł w samochód i wracał do domu. W pewnym momencie, przejeżdżając przez las, wszystkie relacje, zdarzenia, historie, które opowiedzieli mu bohaterowie uderzyły w niego z ogromną – niemal fizyczną – siłą. Tak wielką, że musiał na dłuższą chwilę zjechać z drogi żeby ochłonąć.

Świat jest nieprzewidywalny, a w związku z tym niekiedy niesie ze sobą zdarzenia, które teoretycznie nigdy nie powinny zaistnieć. Mimo, że również czasami jeżdżę w rejony walk – większych lub mniejszych konfliktów czy nawet wojen, jestem zdeklarowanym antymilitarystą i pacyfistą.

Jakież więc było moje zdziwienie, gdy kilka tygodni temu, zadzwonił telefon. Rozmówca się przedstawił i po krótkiej prezentacji, zaproponował mi honorowe członkostwo w kapitule Serca Bractwa Mundurowego, Byłych Pracowników Służb Mundurowych. W pierwszej chwili zwyczajnie mnie zatkało. Nagle w głowie tysiące sprzecznych myśli – ja i mundur? Bractwo Mundurowe i antymilitarysta? Owszem, jest we mnie wiele sprzeczności, jestem pacyfistą, ale jedną z moich pasji jest strzelectwo, zwłaszcza czarnoprochowe, strzelam jednak jedynie na koncesjonowanych strzelnicach i tylko do tarcz czy puszek. Nigdy do czegoś co żyje.

Gdy zagłębiłem się działalność i przyczyny powstania tej organizacji, odeszły wszelkie wątpliwości i już bez żadnych wewnętrznych rozterek przyłączyłem się do ludzi, którzy resztką sił walczą nie tylko o swoje prawa, ale o sprawiedliwość dla rodzin tych, którzy w wyniku ustawy dezubekizacyjnej z 16 grudnia 2016 roku, zostali pozbawieni wszelkich świadczeń i przywilejów, a emerytury niektórym spadły nawet do lekko ponad pięciuset złotych.

Według ustawy dotyczy to wszystkich, którzy między – 22. 07. 1944, a – 31. 07. 1990 roku przynajmniej jeden dzień pracowali w służbie bezpieczeństwa. W praktyce okazało się, że według interpretacji IPN, nie chodziło wcale o prace w niesławnym UB, czy jej następczynię SB.

Nagle ludzie, którzy nie mieli nic wspólnego z tymi służbami, zwykli policjanci, osoby zajmujące się jedynie wydawaniem paszportów, wypisywaniem numerów PESEL, pogranicznicy – SG, WOP, pracownicy Służby Więziennej, funkcjonariusze BOR, UOP, strażacy – a nawet ci, którzy zaciągnęli się do którejś z tych służb, już przewrocie i niemal rok po słynnym wystąpieniu znanej aktorki, mówiącej, że „skończył się w Polsce komunizm”. Nawet ci, którzy podjęli pracę dla rządu premiera Tadeusza Mazowieckiego, także zaczęli odbierać dziwną korespondencję, jeśli tylko podpisali umowę o pracę przed – lub nawet 31 lipca 1990.

Nikt nie wiedział (i wciąż nie wie) jakimi kryteriami kieruje się IPN. Przecież była już weryfikacja, przeszli ustawę represyjną z 2009 roku. Ludzie zgłupieli i czekali w strachu, a każda wizyta listonosza powodowała przyspieszone bicie serca. Nikt nie wiedział czy dostanie kopertę opatrzoną pieczęcią z napisem: „Instytut Pamięci Narodowej, Komisja ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu” – ci, którzy zdążyli przeczytać, dowiedzieli się, że zostali pozbawieni wszelkich uprawnień, za służbę na rzecz totalitarnego państwa. Kilkudziesięciu – nie zdążyło nawet przeczytać do końca. Zmarli przed ostatnim akapitem. Takich bezpośrednich – odnotowanych i zgłoszonych zdarzeń było kilkadziesiąt, potem fala samobójstw. Nie tylko indywidualnych, zdarzały się zbiorowe. Jak choćby małżeństwo z Włocławka. Może nie obawiali się, że będą korzystać z pomocy społecznej, być może znieśliby kolejne upokorzenia fundowane co chwilę przez obecną władzę, ale mieli jeszcze na głowie kredyt mieszkaniowy. Perspektywa eksmisji, na jedno z tych osiedli zwanych gettami, gdzie większość mieszkańców, to aresztowani przez nich przestępcy, doprowadziła do ostateczności. Nie mieli dzieci. Podali tabletki psu, a potem sami się nimi otruli. Nieskutecznie. Mężczyzna ocknął się pierwszy i sądząc, że tylko on przeżył podciął sobie żyły. Kobieta obudził pies. Nie zdążyła pójść w ślady męża. Jeszcze jest w szpitalu, a po wyjściu zamieszka na wspomnianym osiedlu,

w budynku z jedną łazienką na piętrze i między ludźmi, których kilka lat wcześniej, aresztowała za pospolite przestępstwa.

Trudno oszacować liczbę ofiar tej ustawy. Nie wszystkie rodziny zgłaszają, nie wszyscy zmarli mieli rodziny.

Poza bezpośrednimi beneficjentami, zostawili rodziny, którym w normalnych warunkach należały się świadczenia po współmałżonkach, rodzicach. Wielu funkcjonariuszy zginęło na służbie. Ci ludzie mają niewielkie szansę na sprawiedliwość. Dotychczas z powodu śmierci wnioskodawcy, umorzono blisko 1400 postępowań, w których domagali się utraconych rent i emerytur. Rodzina już nie może wystąpić na drogę sądową.

Stowarzyszenie, do którego się przyłączyłem, dokumentuje wszelkie przypadki śmierci wynikającej z tej zbrodniczej ustawy, organizuje „Zrzutki”, aukcje, imprezy połączone ze zbiórką pieniędzy dla rodzin tych, którzy walczyć już o siebie nie mogą. To oczywiście pomoc doraźna, zamierzamy zrobić wszystko, żeby sytuację odwrócić, ustawę wyrzucić do kosza, a winnych pociągnąć do odpowiedzialności. Być może prezes Szarek i jego zastępcy czytając to uśmiechają się pod nosem, powinni jednak pamiętać, że wśród pokrzywdzonych są też ludzie jeszcze wystarczająco młodzi i z doświadczeniem. Z racji zawodu potrafią zbierać, przechowywać i zabezpieczać dowody, by w odpowiednim czasie złożyć odpowiednie wnioski. W końcu wielu z nich pracowało w dochodzeniówce, często dzięki takiej mozolnej pracy łapali najgroźniejszych przestępców.

Według agencji prasowej Press – Tour, taki precedens wydarzył się tylko w Polsce. Nawet w dawnym NRD, gdzie działał jeden z najokrutniejszych aparatów represji, niesławne Stasi, rozwiązano ten problem w sposób, którego nikt nie kwestionował. Od momentu przyłączenia Niemieckiej Republiki Demokratycznej do Republiki Federalnej Niemiec, wszczęto kilka tysięcy postępowań karnych, w których skazanych blisko tysiąc osób. W tym funkcjonariuszy, pracowników wymiaru sprawiedliwości i polityków. Sam Erich Honecker, jak i wielu innych szefów aparatu w ostatnim momencie uciekli z kraju. Niemiecki Instytut założony przez Joachima Gaucka, czyli Urząd Pełnomocnika Federalnego ds. Materiałów Państwowej Służby Bezpieczeństwa NRD, przejął ponad sto kilometrów akt. Instytut uchodzi

za modelowy w tej części Europy. Do tej pory lustruje kandydatów na stanowiska rządowe.

Nasi krajowi politycy wraz z kierownictwem IPN nie miało „czasu”, by zająć się tym problemem hurtowo uznając, że weryfikacja się nie sprawdziła, wrzucono więc wszystkich do jednego worka. Może wydawało im się to bezpieczniejsze, niż rozlicznie pojedynczych osób. Kto wie jakie wypłynęłyby wtedy nazwiska ówczesnych tajnych współpracowników, a być może ich szefowie znają tych dawnych konfidentów z sejmowych ław, lub nawet są w jednym klubie parlamentarnym.